

Przepowiednia kukabary - Rozmowa z Jurijem Andruchowyczem

Jurij Andruchowycz wystąpił na Festiwalu jako performer i jako pisarz. 21 lipca razem Ulianą Horbaczewską i Bartem Pałygą zaprezentował koncert „Antonycz w domu”, a następnego dnia przeczytał nam fragment swojej nieukończonych powieści „Albert” - napisanego w stylu postmodernistyczno-barokowym, spisu najbardziej niegodziwych uczynków w historii Ukrainy. Tuż po czytaniu i dyskusji z udziałem Edwina Bendyka, udało mi się z Andruchowyczem porozmawiać – polityczności, książkach i teatrze.

Karolina Rospondek: Wspaniale słuchało się tych fragmentów. Ta strategia osnuwania powieściowych wątków wokół prawdziwych postaci, chociaż z marginesu historii, jest niezmiernie interesująca. Myślę jednak, że nie ma to większego znaczenia ile z tej historii jest faktem historycznym, a ile fikcją. Myślę nawet że im więcej pan dookoła tych ludzi nazmyślał, to tym bardziej są oni prawdziwi, żyją jakimś pełniejszym literackim życiem. Jak długo będziemy czekać na „Alberta”?

J. A.: Wprawdzie pracuję nad tą książką od 26 lat, ale moja strategia zbierania materiałów sprawdzała się lepiej na początku. Otóż, ja tych moich postaci nie szukałem, wychodziłem z założenia, że to one do mnie przyjdą, zapukają. I przychodziły, mimochodem, ze źródeł do których zaglądałem z innych powodów, przeżywały się między innymi moimi pracami. I może dlatego to tyle trwało, to nie tak że ja tę jedną powieść piszę tyle czasu. Jedna taka historia powstawała raz na pięć lub siedem lat. Teraz jednak zmieniam ten system, bo zaczyna mi się klarować, jak książka będzie wyglądać ostatecznie. Podejmuję inicjatywę, sam szukam. Chciałbym żeby „Albert” ukazał się po ukraińsku na początku przyszłego roku, wobec tego polski przekład będzie trochę później.

K. R.: Jak wygląda taka twórczość na tle pozostałych współczesnych ukraińskich pisarzy? Wiem że wielu z nich zajmuje się teraz przede wszystkim aktualnymi tematami. Czy jest pan jedyny, którego interesują akta sądowe sprzed czterystu lat i dziwne miejskie legendy?

J.A.: Absolutnie nie jestem jedyny, mamy cały poważny nurt pisarzy pracujących z materiałem historycznym. Mimo tego, napisania powieści historycznej w tradycyjnym sensie nie uważam za ciekawe zadanie. Bardziej interesuje mnie poetyzowanie tego materiału, budowanie wokół niego znaczeń. Może nie wypada mi reklamować twórczości własnej córki, ale napisała świetną powieść, która ukazała się już po polsku – jakieś dwa tygodnie temu. Moja córka nazywa się Sofija Andruchowycz, a jej książka „Felix Austria”. To w żadnej mierze nie jest powieść historyczna, ale opowiada o naszym rodzinnym mieście (dawniej Stanisławowie) około roku 1900. Inspiracji Sofija szukała w dawnej prasie i stworzyła historię trójkąta miłosnego. To tylko jeden z przykładów. Ja zwykle, kiedy zwracam się w te rejony, to nigdy nie w celu uprawiania klasycznej beletrystyki.

K. R.: Czy opisywane przez pana praktyki pisarskie mają, minimalny chociaż, wydźwięk polityczny?

J. A.: Na pewno. Oczywiście, jeśli dokładnie się przyjrzeć, to każde działanie, każdego artysty ma swój wydźwięk polityczny. Nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy twórca wyznaje zasadę apolityczności. Ja na Ukrainie zapracowałem sobie na status takiego twórcy, którego niekoniecznie trzeba czytać, ale o którym trzeba mówić. Dlatego mam wielu oponentów, którzy atakują mnie za polityczne wypowiedzi, ale to nie do końca dotyczy mojej twórczości, raczej mojej postaci medialnej.

K. R.: Za jakie wypowiedzi?

J.A.: Ja w roku 2010 miałem swoją wizję tego co stanie się u nas w Donbasie. Lata przed tym konfliktem prze-

widziałem że on tam wybuchnie, że prawdopodobnie mieszkańcy tamtych terenów będą chcieli od nas odejść. Proponowałem aby wziąć pod uwagę zdanie tych ludzi i rozwiązać sprawę nie zbrojnie, może w wyniku jakiegoś referendum. I za te słowa do dzisiaj jestem miażdżony, z różnych stron. Nawet po sześciu latach, na Ukrainie większość wywiadów ze mną zaczyna się od pytania o tamten tekst.

K. R.: Na spotkaniu mówił pan o emocjonalnych reakcjach po wystawieniu „Alberta” [muzycznego performansu na podstawie fragmentu powieści] w okolicach Majdanu. Wydaje mi się, że potrzeba ogromnej odwagi aby w tej rzeczywistości, gdzie, jak pan mówił, nawet pracujący na froncie psychologowie potrzebują pomocy psychologów, pokazać coś oderwanego od realiów, jednocześnie nasączonego tak pięknym tragikomizmem, zamiast dzieła otwarcie politycznego. Na ile to było działanie zamierzone?

J. A.: Nie było w ogóle. Majdan rozegrał się pod koniec roku 2013, a my premierę mieliśmy w lipcu i nikt nie przeczuwał, że coś takiego się wydarzy. Spodziewaliśmy się, że będzie gorzej, lecz panowała stagnacja, nikt nie zauważał realnych problemów. Aż w końcu stanęliśmy przed dylematem – odwoływać koncerty, czy sprostać sytuacji. Wybraliśmy to drugie, choć nie chcieliśmy na siłę dopasowywać niczego do kontekstu. Pojawily się wątpliwości, czy warto z tym jechać, czy ktoś zauważył to nasze działanie. Spektakl zadziałał przez przestrzeń, zwłaszcza dzięki symbolowi ognia [bohater wokół którego toczy się narracja, zostaje spalony na stosie]. Protestujący na Majdanie grzali się przy koksownikach, na występ przyszli dosłownie od tych koksowników oderwani. Poczuli, że to o nich – opowieść o buncie, przemocy, sądzeniu, być może zbawieniu.

K. R.: Odchodząc od wątków politycznych, chciałabym zapytać o Bohdana Igora Antonycza. Czy nadal jest poetą popularnym, kimś na kształt ukraińskiego Wojaczka, czy może przywołuje pan tę postać jedynie z osobistej sympatii?

J. A.: Popularny on nie był nigdy, natomiast na pewno, nawet współcześnie, jest kultowy. Każda nowa generacja poetów przeżywa fascynację Antonyczem, on staje się dla nich przewodnikiem po ukraińskiej literaturze przedwojennej. Oczywiście, moja opowieść o Antonyczu jest w dużej mierze zmyślona.

K. R.: Od dawna śledzę nie tylko pańskie książki, ale i nagrania. Jeśli dokładnie, chronologicznie im się przyrzuć – od pierwszych projektów z Trzaską, przez współpracę z Karbido po to najnowsze antonyczowskie przedsięwzięcie, da się dostrzec konsekwentny rozwój. To co pan teraz robi to już nie melorecytacje, tylko spójne koncerty, w których równie ważna jest muzyka, słowo, jak i sposób działania słowem. To nowa jakość muzycznego performansu. A czy nie przychodzi panu do głowy napisanie czegoś typowo teatralnego?

J. A.: Napisałem już dramat, rok temu, na zamówienie teatru ze Szwajcarii. Akcja dzieje się w pysznie zbudowanym, podupadającym grand hotelu w Alpach, a głównym bohaterem jest hotelowy grajek, pianista przygrywający gościom do kotleta, w dodatku przybysz z daleka. I okazało się, gdy to pisałem, że sam dla siebie potrzebuję jednak wątku Ukrainy i Majdanu i uczyniłem naszego grajka uchodźcą. Pochodzi z kraju w którym działa się rewolucja, ludzie protestowali na placach, a on też tam grał. To dosłowny powidok tego co działo się w Kijowie, ludzie wynosili z domów stare fortepiany, a protestujący w kominiarkach zaczęli na nich grać, na przykład etiudę rewolucyjną Chopina albo „Imagine”. Jeden z nich zdobył nawet większą popularność, a aury tajemniczości dodawało mu, że nikt nie widział jego twarzy.

K. R.: Kto był reżyserem tego spektaklu?

J. A.: niejaki Manfred Ferrari, wystawił to całkiem zgrabnie, ale doszedłem do wniosku, że szkoda mi że z historii o takim potencjale robi się sztukę teatralną. Napisałbym o tym kilkusetstronicową powieść. W teatrze ostatnie słowo należy do reżysera, a ja wolabym, żeby należało jednak do mnie. Ale sceny nie porzucę, zbyt wiele satysfakcji te literacko-muzyczne projekty mi sprawiają.

K. R.: Otóż to, wspomina pan wielokrotnie w wywiadach, że został pisarzem przede wszystkim z niemożności zostania gwiazdą rocka, bo nie umie pan grać na żadnym instrumencie. Takie pytanie na zakończenie: czy przez te wszystkie lata koncertowania i bliskiej współpracy muzykami, coś się w tym temacie zmieniło?

J. A.: Oczywiście, dostałem od zespołu w prezencie coś takiego prymitywne... nazywa się kukabara. To jest aluminiowa trąbka, która w środku ma kawałek drewna. Drewno rezonuje od dmuchania w trąbkę i powstaje dźwięk – rzekomo naśladujący australijskiego ptaka. Kukabarę właśnie.

K. R.: Dziękuję za rozmowę.

REDAKCJA/EDITORIAL OFFICE:

Red. naczelna/Editor in Chief - Karolina Rospondek

Tłumaczenia/Translations - Marysia Kuczyńska, Dominika Klimowicz

Autorzy/authors: Karolina Rospondek, Marysia Kuczyńska, Tymon Siejkowski, Łukasz Zbroja